W POSZUKIWANIU PRAWDY

Władysław Hnatkowski

RÓŻNE DROGI WIODŁY DO KRAJU

Będąc członkiem Stowarzyszenia i czytelnikiem Biuletynu chciałbym zabrać głos w rubryce *W poszukiwaniu prawdy,* by dać świadectwo prawdzie i przeciwstawić się niesłusznym i niesprawiedliwym opiniom jakie często słyszy się o żołnierzach gen. Berlinga. Szczególnie ludzie młodzi, których na świecie jeszcze nie było w latach wojny, skłonni są takie opinie wypowiadać. Mówi się, że berlingowcy przynieśli na bagnetach sowiecki ład i zniewolenie Polski na kilkadziesiąt lat. Zapomina się, że to wielcy politycy, nasi sojusznicy zaprzedali nas w sferę wpływów Stalina na konferencjach w Jałcie i Poczdamie.

Czym się różnili żołnierze gen. Andersa od żołnierzy gen. Berlinga? Chyba tylko tym, że ci pierwsi mieli więcej szczęścia, bo zdążyli dotrzeć do formujących się pułków. Rodowód mieli taki sam: deportowani, zmuszeni do niewolniczej pracy na nieludzkiej ziemi, marzyli o powrocie do wolnej ojczyzny. Oprócz marzeń o powrocie do rodzinnego domu, zwykle znajdującego się na Kresach, nie mieli żadnych programów politycznych. Manipulacjami politycznymi zajmowali się inni wielcy politycy.

Przedstawię poniżej swój „rodowód berlingowca". Może mój przykład pozwoli lepiej zrozumieć złożoność losów i tragedię Polaków, rozproszonych w wyniku drugiej wojny światowej.

Ojciec mój Emil Hnatkowski, mając lat 17, wstąpił ochotniczo do Legionów Piłsudskiego. Za służbę frontową i wojnę z bolszewikami w 1920 r. został wyróżniony m.in. nadaniem 15-hektarowego gospodarstwa w osadzie wojskowej Poniatówka, która położona była między Ostrogiem n.Horyniem, a Zdołbunowem na Wołyniu. Rodzice byli bardzo pracowici, zaradni i ambitni. Przed wojną 1939 r. ich gospodarstwo należało do wyróżniających się gospodarnością i zamożnością.

Miałem dwóch braci: o rok starszego Adama i o trzy lata młodszego Wacława. W Ostrogu, gdzie pobierałem naukę, stacjonował 19 Pułk Ułanów Wołyńskich oraz batalion KOP. Wśród synów oficerów i podoficerów miałem wielu kolegów, a chwile wolne po lekcjach często spędzałem w koszarach. Wojsko pociągało mnie od dzieciństwa i marzyłem, by w przyszłości pełnić służbę wojskową.

Wkroczenie sowietów na Wołyń 17 września 1939 r. było dla nas wielkim zaskoczeniem i stało się początkiem dramatu wielu kresowian. Rozpoczęły się represje i prześladowania Polaków, a w szczególności rodzin osadniczych.

Pierwsza deportacja 10 lutego 1940 r. objęła i moją rodzinę. Po ponad dwóch tygodniach „podróży" w bydlęcych wagonach znaleźliśmy się w obwodzie Wołogda. Wyładowano nas w szczerym polu, gdzie czekały sanie miejscowych kołchoźników. Podróż do „lesopunktu" oddalonego około 100 km trwała 3 dni. Surowa zima w tym rejonie, mrozy dochodzące do -56°C dały się nam we znaki. Małe dzieci nie wytrzymywały trzydniowej podróży - marły na szlaku.

Do lata 1941 r. ciężko pracowaliśmy przy wyrębie lasu i wywózce drewna. Praca trwała od świtu do wieczora, w zimie - przy trzaskającym mrozie i bez gorącego posiłku, a latem - dodatkowo w rojach komarów i muszek tnących ciało do krwi.

Pod koniec lipca 1941 r. miejscowy komendant NKWD, sprawujący nad nami dozór, oznajmił, że zostało podpisane w Moskwie porozumienie pomiędzy gen. Sikorskim, a Stalinem. Niedługo potem przyjechali z rejonowego miasteczka agitatorzy, by oznajmić nam, że stajemy się

wolnymi obywatelami polskimi i możemy stąd wyjechać w głąb ZSRR. Agitatorzy próbowali nas skłonić do pozostania na miejscu. Wiedzieliśmy, że zależało im na taniej sile roboczej. Spośród ok. 180 polskich rodzin, które tam się znalazły po deportacji, pierwsze 7, a wśród nich i moja, postanowiły wyjechać. Statkiem rzecznym dopłynęliśmy do Wołogdy, a dalej w wagonach towarowych po dwutygodniowej podróży dotarliśmy do Świerdłowska. Na dworcu w Świerdłowsku ojciec spotkał przypadkowo oficera polskiego z Korpusu Generała Andersa, który oznajmił, że sztab naszego wojska znajduje się koło Taszkentu. Tylko jedna rodzina postanowiła odłączyć się od nas by tam dotrzeć. Reszta rodzin z małymi dziećmi i chorymi starszymi osobami nie zdecydowała się na dalszą, wyczerpującą podróż.

Władze w Świerdłowsku skierowały nas do m. Niżna Sałda. Tam zostaliśmy rozlokowani u miejscowych rodzin rosyjskich i musieliśmy podjąć pracę w pomocniczym gospodarstwie rolnym kombinatu metalurgicznego. Pomimo ciężkich warunków wojennych i systemu kartkowego zaopatrywania w żywność żyliśmy tam dużo lżej niż „lesopunkcie".

Zaradność, pracowitość i różne umiejętności mojego ojca, przyczyniły się do tego, że zatrudniono mnie i ojca we młynie. Była mąka i chleb. Głód już nam nie dokuczał, a życie osiągnęło namiastkę stabilizacji. Jednak w moim umyśle dorastającego chłopca odżyły marzenia o wstąpieniu do wojska polskiego. Postanowiłem podjąć karkołomną i ryzykowną podróż do Taszkentu. Przedsięwzięcie było ryzykowne, gdyż przede wszystkim musiałem samowolnie porzucić pracę, w czasie kiedy na terenie ZSRR obowiązywał dekret o dyscyplinie pracy. Ponadto na podróż należało wykupić bilet, sprzedawany tylko za okazaniem delegacji służbowej. Podróżowanie w celach prywatnych nie było możliwe, a nawet wręcz zabronione. Toteż w takich okolicznościach, któregoś sierpniowego dnia 1942 r., wybrałem się do wojska „na gapę". Do plecaka wziąłem 3 bochenki chleba, do kieszeni 3 tysiące rubli i ruszyłem w kierunku Taszkentu. Jechałem nocami wagonami towarowymi, przeważnie na platformach z drewnem, węglem lub rudą. W ciągu trzech nocy zdołałem przebyć trasę ok. 800 km.

Pewnego ranka, gdy jeszcze spałem, pociąg zatrzymał się na małej stacji. Zeskoczyłem z wagonu, aby ustalić czy zmierzam w odpowiednim kierunku. Tuż przy budynku stacji natknąłem się na milicjanta, który zatrzymał mnie żądając dokumentów. Prawdopodobnie zdradziła mnie czapka harcerska, którą miałem na głowie. Po wstępnym śledztwie w komisariacie kolejowym odwieziono mnie z powrotem do Niżnej Sałdy. Osadzono mnie w areszcie. W listopadzie 1942 r. stanąłem przed sądem za porzucenie pracy i samowolne oddalenie się z miejsca pobytu. Skazano mnie na 6 miesięcy więzienia. Karę początkowo odbywałem w Świerdłowsku, a po trzech tygodniach przewieziono mnie do obozu pracy w m. Rewda. Znalazłem się w 20-osobowej brygadzie, którą pod eskortą dwóch konwojentów z psami codziennie pędzono 4 km do miejsca pracy. Praca rozpoczynała się o godz. 6^{00}, a kończyła o 20^{00}. Przed wyjściem do pracy dawano 0,5 l pseudozupy i 40 dag chleba. Po powrocie do obozu ok. 21^{00} była kolacja składająca się z 2 łyżek stołowych gotowanej pszenicy. Jeśli brygada wykonała zlecone roboty przydzielano na kolację 30 dag chleba.

Ciężka praca na wolnym powietrzu w temperaturze ok. 35°C poniżej zera była bardzo wyczerpująca, zwłaszcza przy takim znikomym wyżywieniu. Rozładunek wagonów towarowych z węglem, rudą, stopami miedzi i żelaza był głównym zajęciem mojej brygady. Gdy zaziębiłem się w lutym 1943 r., z wysoką temperaturą znalazłem się w obozowym szpitalu. Panował tu głód, brak było nawet podstawowych leków. Wkrótce

pojawiła się epidemia tyfusu. Słabe organizmy nie wytrzymywały choroby. Ciała zmarłych zakopywano poza obozem w śniegu, by na wiosnę pogrzebać je w ziemi. Dzięki życzliwej radzie lekarki obozowej i gdy stan zdrowia trochę się poprawił trafiłem do pracy w stolarni na terenie obozu. Wychudzony, osłabiony po chorobie, byłem jednak zadowolony ze zmiany miejsca pracy, bo pracowałem w ogrzanym pomieszczeniu. Po przyuczeniu przez brygadzistę Ukraińca, który pochodził spod Stanisławowa, wykonywałem odręcznie drewniane łyżki. Znając zaś zasady mielenia zboża wykonałem dla obozowej kuchni ręczne żarna. Od tej pory więźniowie nie jedli już gotowanej pszenicy, lecz kaszę.

W maju, gdy kończyła się kara, wezwał mnie komendant obozu i oznajmił: „podobno chciałeś się dostać do wojska polskiego, którego już na terenie ZSRR nie ma, pojedziesz do armii czerwonej". Wręczył mi skierowanie, do odległego od obozu o 7 km „Wojenkomatu", abym nazajutrz tam się zgłosił. Rodzice wiedzieli o terminie mojego zwolnienia z obozu i ojciec wraz z młodszym bratem wyjechali na spotkanie ze mną. W godzinach nocnych dotarłem do stacji, w której położony był „Wojenkomat" i tam nieoczekiwanie w tłumie podróżnych zobaczyłem ojca i brata, którzy czekali na przesiadkę do obozu. Byłem tak wynędzniały, chudy, obolały i brudny, że moi najbliżsi mnie nie rozpoznali. Przywieziono mi nową bieliznę z darów, przydzielonych wcześniej Polakom. Przebrałem się w nową bieliznę, wojskowy płaszcz amerykański, przefarbowany wojskowy mundur angielski, oraz nowe trzewiki angielskie. Po raz pierwszy po 6 miesiącach umyłem w dworcowej umywalni ręce i twarz mydłem. Po spożyciu prawdziwych kanapek, zwierzyłem się ojcu i bratu, że rano muszę się zgłosić do miejscowego „Wojenkomatu", gdyż mam skierowanie do czerwonej armii.

Nie zgłosiłem się do „Wojenkomatu" stając się automatycznie dezerterem. Wiadomo co mi za to groziło. Postanowiłem wracać do domu „na gapę". Ojciec i brat jechali legalnie. Wsiedliśmy w nocy do wagonu, w którym spali oficerowie radzieccy, jadący do Niżnego Tagiłu. Ukryłem się pod ławką i tak nie zauważony, szczęśliwie, choć z duszą na ramieniu odbyłem podróż do domu. Przez dłuższy okres ukrywałem się u rodzin polskich, które tam zamieszkiwały, a były to rodziny deportowane w latach 30-tych z Ukrainy. Szczęście trochę mi sprzyjało, bo w czasie wojny w ZSRR panował bałagan i to pozwoliło mi jakoś przetrwać.

W marcu 1943 r. rozpoczęły się na nowo represje w stosunku do Polaków, czego objawem było m.in. zmuszanie nas do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego.

Wiadomość o formującej się w maju 1943 r. 1-szej Dywizji im. T. Kościuszki dotarła do mnie w lipcu. To dało mi nadzieję, że być może uda mi się dotrzeć do polskiego wojska. W sierpniu ojciec i brat Adam otrzymali powołanie do Sielc nad Oką, a ja nie. Pomimo braku odpowiednich dokumentów postanowiłem jakoś dotrzeć ochotniczo do Sielc. Teraz szczęście mi sprzyjało, podróż odbyłem w licznej grupie Polaków udających się w transporcie kolejowym do Riazania i dalej do Diwowa. Po przybyciu razem z ojcem i bratem na miejsce przeżyliśmy pierwsze rozczarowanie, gdy zobaczyliśmy na czapkach żołnierzy nie prawdziwe polskie orły, tylko coś co bardziej przypominało wrony. Nasz zawód był jeszcze większy, gdy usłyszeliśmy, że polscy oficerowie mówią po rosyjsku. Do obozu przybyliśmy w pierwszych dniach września. 1-szej Dywizji im. T. Kościuszki już nie było, ponieważ 1 września odjechała na front.

Rozpoczęło się formowanie 2-ej Dywizji im. J.H. Dąbrowskiego, gdzie otrzymałem wraz z bratem Adamem przydział jako ochotnik do samodzielnej kompanii chemicznej. Ojciec jako przedwojenny podoficer rezerwy trafił do 5 Pułku Piechoty, by w

grudniu tegoż roku za zgodą dowódcy dywizji znaleźć się w kompanii razem z nami. W styczniu 1944 r. po krótkim szkoleniu dywizja nasza ruszyła na zachód i wkrótce znaleźliśmy się w rejonie Smoleńska. Spotkaliśmy tam kolegów, którzy byli w 1 -szej Dywizji. Opowiedzieli nam jak odbył się ich pierwszy chrzest bojowy, a tak naprawdę, krwawa jatka pod Lenino. Teraz powszechnie wiadomo, że w tej bitwie zginęło więcej Polaków niż pod Monte Cassino.

Stacjonowaliśmy we wsi położonej ok. 20 km. od Katynia, gdzie od miejscowej ludności dowiedzieliśmy się o zamordowaniu naszych oficerów w 1940 roku. Pobyt na Smoleńszczyźnie, a wkrótce potem przejazd na Ukrainę w rejon Berdyczowa przybliżył nas do Kraju. Byliśmy już bardzo blisko rodzinnego Wołynia. Po przegrupowaniu, już wtedy 1-go Korpusu, znaleźliśmy się na Wołyniu w rejonie Kiwerc. Tam dowiedzieliśmy się o istnieniu w zachodniej części Wołynia, 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, w której walczyli moi czterej bracia cioteczni. Jeden z nich poległ. Na tych terenach czuliśmy się już w Polsce i wśród swoich rodaków. Dalszy przemarsz prowadził na Lubelszczyznę, gdzie w rejonie Puław odbyliśmy chrzest bojowy w nieudanym forsowaniu Wisły. Następne poważne starcie z Niemcami mieliśmy na przyczółku Magnuszewskim. Tu nasza dywizja poniosła poważne straty. W pierwszych dniach września 1944 r. zostaliśmy przerzuceni w rejon warszawskiej Pragi. W Warszawie trwało Powstanie. Bardzo chcieliśmy pomóc naszym rodakom, lecz polityczne rozgrywki Stalina przeszkodziły generałowi Berlingowi, wtedy już dowódcy 1-szej Armii WP, w realizacji zamiaru pomocy powstańcom. Do zburzonej Warszawy wkroczyliśmy w styczniu 1945 r., aby kontynuować marsz na zachód za wojskami niemieckimi. Jak wiadomo za usiłowanie udzielenia pomocy powstańcom wkrótce generał Berling przestał być naszym dowódcą, a został nim radziecki generał - Popławski. Brat Adam od września 1944 r. przeniesiony był od nas z kompanii do sztabu dywizji.

W drodze na zachód nasza dywizja stoczyła bardzo ciężkie walki na wale Pomorskim, a następnie przy forsowaniu Odry. W czasie forsowania Odry zostałem lekko ranny. Na obecne tereny niemieckie wkroczyliśmy w połowie kwietnia 1945 r. Niezapomnianym przeżyciem było dla nas wyzwolenie obozu koncentracyjnego Ravensbruck, w którym znajdowały się także polskie kobiety z dziećmi, wywiezione z Powstania Warszawskiego. Pod koniec kwietnia 1945 r po krótkim przemarszu i pościgu za Niemcami dotarliśmy nad Łabę, by tam spotkać się z jednostkami armii amerykańskiej. Po krótkim pobycie nad Łabą nasza dywizja została wycofana pod Berlin by wesprzeć natarcie jednostek 1-szej Dywizji im. T. Kościuszki w samym Berlinie. Kapitulacja wojsk hitlerowskich zastała mnie i ojca 8 maja 1945 r. 12 km od Berlina.

Dalsze koleje mojego życia, to ukończenie szkoły oficerskiej i służba zawodowa w wojsku. Aby pozostać w tej służbie musiałem uzupełnić średnie wykształcenie oraz ukończyć kursy w Wojskowej Akademii Sztabu Generalnego. W służbie zawodowej nie było niestety miejsca dla synów osadników. Musiałem w życiorysie zataić swoje pochodzenie. Informacja wojskowa wielokrotnie usiłowała mnie „rozszyfrować” i udało się jej to uczynić pod koniec 1969 r. Szeregi Ludowego Wojska Polskiego musiałem opuścić w 1970 r. Pracę kontynuowałem w warszawskiej oświacie, jako nauczyciel, a później jako wizytator przysposobienia obronnego.

Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że Polacy deportowani w głąb ZSRR, a także ci, którzy jeszcze pod władzą sowiecką do 21 czerwca 1941 roku mieszkali na Kresach Wschodnich, byli skazani na zagładę, a ich mogiły, rozproszone na rozległych prze-

strzeniach Syberii - na wieczne zapomnienie. Jednak zmienne losy wojny stwarzały Polakom kolejne szanse na przetrwanie złego czasu.

Zwrotnym wydarzeniem dla Polaków była napaść Hitlera na swojego niedawnego sojusznika, w wyniku czego ZSRR znalazł się w koalicji antyhitlerowskiej. To sprawiło, że już w lipcu 1941 r. zawarte zostało porozumienie Sikorski - Majski, a Stalin ogłosił amnestię dla Polaków.

Formowane na mocy tego prawa, polskie dywizje przez gen. Andersa nie otrzymały od ZSRR, uzgodnionych wcześniej, norm uzbrojenia, sprzętu wojskowego, umundurowania i zabezpieczenia medycznego. Racje żywnościowe stale zmniejszano. Choroby, a szczególnie epidemia tyfusu, dziesiątkowały żołnierzy. Pomimo nalegań Stalina gen. Anders był przeciwny skierowaniu na front słabo uzbrojonego i niedostatecznie wyszkolonego wojska.

Nie było innego rozwiązania jak wyprowadzić wojsko oraz towarzyszące mu rodziny polskie w sferę działań zachodnich aliantów, którzy posiadali i oferowali pełne zaopatrzenie wojska. Na mocy obopólnego porozumienia z ZSRR razem z gen. Andersem wyjechało do Iranu około 180 tysięcy Polaków, w tym znaczna liczba kobiet i dzieci.

Na rozległych obszarach ZSRR pozostawało jeszcze ponad 1,3 mln Polaków. (trudno ustalić dokładną liczbę, bowiem nie prowadzono ścisłej statystyki, a umieralność z głodu i wycieńczenia była duża). Zaczęły się znów represje i prześladowania Polaków.

W 1943 roku zaistniała kolejna szansa. Oto podpułkownik, a późniejszy generał, Berling organizował nowe jednostki wojska polskiego. Była to szansa dla Polaków. Znów zaczęto nas nazywać sojusznikami, a rodziny polskie ponownie odzyskały namiastkę praw dziś nazywanych „prawami człowieka”.

Tak się złożyło, że znałem osobiście generała Berlinga, jego żonę Marię i syna Krzysztofa. Niestety wszyscy już nie żyją. Bywałem wielokrotnie w ich domu i dość często rozmawiałem z generałem. Generał wyjaśnił mi dlaczego nie wyjechał z Armią Andersa do Iranu, a także jak przebiegały później rozmowy w Moskwie w 1943 roku, z przedstawicielami władz radzieckich i Związku Patriotów Polskich. Generał Berling w okresie swojej działalności w Związku Patriotów Polskich w 1943 roku, a później w latach 1944 -1945 miał odmienny pogląd na temat przyszłych kształtów Polski. Był przeciwnikiem lewicowych działaczy polskich z „Kominternu” takich jak A. Lampe, H. Minc, R. Zambrowski, W. Grosz, S. Jędrychowski i inni, którzy pragnęli utworzyć z Polski 17 republikę radziecką. Generał Berling napisał o tym w swoich wspomnieniach.

Według mnie wyrządza się dużą krzywdę przypisując nieżyjącemu generałowi Berlingowi wrogą agenturę i zdradę Polski, jak czynią to niektórzy.

Jestem przekonany, że generał Berling był dobrym Polakiem i dobrym dowódcą, a dla deportowanych rodzin w owym czasie stał się mężem opatrznościowym. Chyba sam fakt, że będąc wysokim dowódcą nie zrobił kariery w Polsce Ludowej, może świadczyć, że nie kochała go Moskwa, a on nie podporządkował się jej polityce.

O odwadze publicznej Berlinga może świadczyć anegdotyczna już historia z odprawy u Stalina wyższych dowódców wojskowych. Stalin polecił Berlingowi przygotować Wojsko Polskie do walk o wyzwolenie Smoleńska. Berling zdając sobie sprawę, że wojsko nie posiadające doświadczenia w walkach ulicznych poniesie wielkie straty nie osiągając sukcesu przedstawił swoją argumentację Stalinowi. Stalin podtrzymał postawione zadanie. Berling skwitował je komentarzem:

- No cóż Polacy wielokrotnie zdobywali Smoleńsk od zachodu, teraz będą zdobywać od wschodu.

Zapanowało żenujące milczenie. Nie posłano Polaków do walki o Smoleńsk.

Kolejną szansą dla Polaków na wschodzie była „odwilż" po październiku w 1956 roku. Repatriowało się do Polski wiele tysięcy rodzin. Do dziś w Kazachstanie oraz na rozległych obszarach Rosji żyje wiele rodzin polskich, pozbawionych polskich szkół, a nade wszystko szans powrotu do ojczyzny swoich ojców. W większości przypadków Polacy ci nie potrafią już mówić po polsku.

Czy znajdzie się jakiś mąż opatrznościowy, który spełni ich marzenie i przyprowadzi ich do ziemi ojczystej?

Feliks Konarski

Powracając do tematu zasadniczego pragnę stwierdzić, że zastanawiałem się nieraz jak potoczyło by się moje życie gdyby udało mi się dotrzeć w 1942 roku do Armii Andersa. Czy ojca i brata, którzy przeszli szlak frontowy jako żołnierze generała Berlinga oskarżałbym, że na bagnetach przynieśli do Polski reżim sowiecki? Nie.

A jednak niektórzy kombatanci dziś robią różnicę między tymi, którzy szli do Polski ze wschodu a tymi, którzy szli z zachodu. Czy to jest rozsądne? Z pewnością służy to jako temat zastępczy, aby nie mówić kto naprawdę był sprawcą zniewolenia Polski i powojennych prześladowań patriotów, przeciwstawiających się temu zniewoleniu.

Szli...
Z twarzami szarymi jak popiół...
Z otrzyma zapatrzonymi w przyszłość...
Każdy z nich bólem się opił...
Każdy cierpieniem nakarmił

Szli do Armii...
W zawszonych łachmanach...
Z nogami owiniętymi w szmaty...
Pod niejednym ugięły się kolana...
Niejednemu zdrętwiały gnaty...
I zęby szczękały z mrozu...

Szli...
Z odległych kołchozów...
I zatłoczonych ponurych miast...
Nie widząc słońca ani gwiazd...
Nie słysząc wichru złośliwego wycia,
Zmęczeni, głodni, bez życia,
Ale uparci - ale wierzący,
W prawość tej,
Której na imię POLSKA - szli do wojska

Ze smutkiem informujemy, że dnia 25 sierpnia odszedł od nas nasz kolega, syn osadnika, członek naszego stowarzyszenia **Adam Hnatkowski**. **Cześć jego pamięci**.

O bracie wspomina Władysław Hnatkowski, autor artykułu *RÓŻNE DROGI WIODŁY DO KRAJU.*